

Maria Nurowska



autorka tak znanych książek, jak *Nie strzelać do organisty* (1975), *Moje życie z Marlonem Brando* (1976) i *Po tamtej stronie śmierć* (1977) i nie mniej popularnych: *Kontredans* (1983), *Innego życia nie będzie* (1987), *Postscriptum*

(1989), pięciotomowej sagi *Panny i wdowy* (1991–1993), *Tanga dla trojga* (1997), a także powieści wydanych nakładem W.A.B.:

Rosyjski kochanek (1996), *Miłośnica* (1999) oraz *Niemiecki taniec* (2000). Autorka sztuk

teatralnych *Małżeństwo Marii Kowalskiej* i *Przerwa w podróży*.

Ostatnio wydała *Gorzki romans* (2003), a także powieść biograficzną o Ryszardzie Kuklińskim *Mój przyjaciel zdrajca* (2004). Jej książki

zostały przełożone na dwanaście języków, w tym chiński i koreański;

były bestsellerami we Francji

i w Niemczech. Wydane po raz pierwszy w 2003 roku *Imię twoje...*

to pierwsza część trylogii ukraińskiej, na którą składa się również *Powrót do Lwowa* (2005).

Autorka pracuje nad trzecim tomem.

Maria Nurowska

Imię twoje...

Maria
Nurowska
Imię twoje...

Imię twoje cię wyprzedza... słowa znajomego profesora z Jerozolimy znalazły swoje zastosowanie. Jej imię... kim była ta kobieta, jaką odegrała rolę w życiu mężczyzny, który od osiemnastu lat był mężem Elizabeth.

Od wielu godzin była w podróży, dwa razy musiała zmieniać samolot, a nie mogła uwierzyć, że wszystko to dzieje się naprawdę. To się nie mieściło w scenariuszu jej życia, a ona się do narzuconej jej roli nie nadawała. Doszło do pomyłki, która się niebawem wyjaśni, i będzie mogła żyć jak dawniej. Ale wiedziała, że już nic nie będzie takie jak dawniej. Fakty, brzmiące najbardziej nieprawdopodobnie, były jednak faktami i nie mogła ich wymazać ze świadomości. Jej mąż Jeffrey Connery, pracownik naukowy Uniwersytetu Nowy Jork, kilka miesięcy temu wyjechał do Europy Wschodniej i tam zaginął. Czyniła starania, aby go odnaleźć. Otrzymała informacje z ambasady w Kijowie, że mąż opuścił teren Ukrainy. Dokładnie szesnastego września dwutysięcznego roku. Do Nowego Jorku jednak nie powrócił i nie odezwał się ani do niej, ani też

do nikogo z bliskich sobie ludzi. Ostatni jego list nosił datę trzydziestego sierpnia. Jeff pisał w nim, że wraca do domu, ma nawet zarezerwowany bilet na samolot. Pisał też, że dzieją się tu ciekawe rzeczy i że jest bardzo zadowolony z materiałów, jakie udało mu się zgromadzić. Niektóre z nich były „wręcz sensacyjne”. Trochę ją to zdziwiło, bo mąż zbierał dokumentację do pracy o zabytkach kultury sakralnej, więc co mogło być w tym sensacyjnego? Jego bliski przyjaciel, Edgar, śmiał się, że Jeff jest bardzo zajęty, bo liczy ocalałe cerkwie na Ukrainie. W ostatnim liście mąż Elizabeth po raz pierwszy wymienił imię swojej współpracownicy. Przedtem pisał o niej jako o swoim ukraińskim cicerone w spódnicy. Teraz napisał: „Bardzo pomogła mi Oksana”. Oksana... imię tajemnicze, niepokojące... Czy ta młoda kobieta naprawdę była zamieszana w uprowadzenie jej męża? O ile to było uprowadzenie. Niestety, wszystko na to wskazywało. Zbyt dobrze znała Jeffa, aby brać pod uwagę jego dobrowolne zamknięcie. Urzędnik w Departamencie Stanu, do którego dotarła dzięki znajomościom matki, coś takiego sugerował. Wymienił astronomiczną liczbę osób uznanych za zaginione, dodając, że w niemałym stopniu byli to mężczyźni, którzy po prostu zwiali od swoich żon. Tak się ten facet dosłownie wyraził. Elizabeth poczuła się dotknięta. Z nimi było inaczej. Skoro Jeff milczał, oznaczało to, iż uniemożliwiono mu kontakt z nią. Może powinna była z nim pojechać, ta myśl nie dawała jej spokoju. Ale nie towarzyszyła mu nigdy w jego podróżach, tak jak on nie towarzyszył jej. Oddzielali pracę od prywatnego życia, ona miała swoje podróże, on miał swoje, spotykali się w domu,

w mieszkaniu na Manhattanie. Do tej pory nie zastanawiała się, jak ich małżeństwo mogło wyglądać z zewnątrz, uświadomiła jej to dopiero matka swoim pytaniem: „Czy naprawdę odczuwasz brak Jeffreya? Tak rzadko się widywaliście”. Widywali się rzadko, ale nie oznaczało to wcale, że stali się sobie obcy. Ich związek zmieniał się przez lata, tak samo jak zmieniały się ich twarze, ich widzenie świata, nabywali doświadczeń, które jednak nie wpływały na sposób, w jaki o sobie myśleli. Stanowili nierozzerwalną całość i gdyby jedno z nich nagle odeszło, dla drugiego byłoby to katastrofą. I tak właśnie się teraz czuła, jak na skraju katastrofy. Nie brała jeszcze pod uwagę najgorszego, że mogą się nie zobaczyć nigdy. Nawet teraz, kiedy jechała do tego kraju, gdzieś na końcu świata, by zidentyfikować rzeczy Jeffa, odnalezione rzekomo w mieszkaniu jego współpracownicy. Nie wierzyła, że tamta mogła mieć coś wspólnego z jego zaginięciem. Jeff jej ufał, a poza tym, o co by mogło chodzić. Porwanie dla okupu? Inni nadawali się do tego lepiej. Politycy, biznesmeni, ludzie o znanych twarzach, aktorzy. Ale on? Naukowiec, zwykle bez grosza przy duszy. Chociaż podobno w tym dziwnym kraju kilka dolarów to już były znaczące pieniądze. Nie, nie, motyw porwania dla pieniędzy należało od razu wykluczyć. Chyba że w coś go wpłątano. Narkotyki? Absurd. Jeff był zbyt ostrożny, a Europa Wschodnia to jednak nie Ameryka Południowa ani Afryka, gdzie wszystko jest możliwe. Tylko co tak naprawdę wiedziała o tej Europie Wschodniej, o ile to w ogóle była jeszcze Europa. Babcia Jeffa bardzo odradzała jej tę podróż, mimo że Jeff był jej ukochanym wnukiem. „Jemu nie pomożesz, a sobie

zaszkodziś – mówiła rozgorączkowanym głosem. – Ty nie wiesz, co to za dzicz, tam się wszystko może wydarzyć”. Opowiadała, że jej mąż, dziadek Jeffa, zaraz po drugiej wojnie światowej był więziony przez parę lat w jednym z satelickich krajów Rosji. Ale działo się to przeszło pół wieku temu! Tamta Rosja już nie istniała. Inaczej też układały się stosunki pomiędzy mocarstwami. Mówiło się, że nowy prezydent Rosji w przeciwieństwie do poprzedniego jest cywilizowanym człowiekiem.

Prawdę powiedziawszy, niezbyt interesowała się polityką. Jej myśli kierowały się w zupełnie inną stronę, dawno temu zakochała się we freskach Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej i spędziła tam tyle czasu, iż uzbierałoby się z tego kilka lat. Była historykiem sztuki i pracę doktorską pisała właśnie z renesansowych fresków. Postaci stworzone przez genialnego twórcę długo zajmowały jej wyobraźnię, *Stworzenie świata* oglądała z bliska, z rusztowań ustawionych pod samym sklepieniem. Miała szczęście, że pozwolono jej tam wejść w czasie prac renowacyjnych. Właściwie to nie pozwolono, ale gdy wbiła sobie coś do głowy, nie było na nią sposobu... Kiedy tak przypatrywała się postaciom, ich rysom twarzy, ich ramionom, mięśniom na brzuchu i udach, całkiem serio zaczęła się zastanawiać, który z nich był prawdziwym Stwórcą, Bóg czy Michał Anioł. „Obaj – odpowiedział za nią Jeff, gdy mu się z tego zwierzyła. – Mike tworzył materię, a Bóg wyposażał ją w duszę”.

Ostatnio zajmowała się Pieterem Brueglem starszym, jedynym artystą w Niderlandach szesnastego wieku, który nie uległ panującej wówczas modzie na

styl włoski, pozostał sobą i za to go bardzo ceniła. Aby obejrzeć oryginał obrazu *Sianokosy* z cyklu *Pory roku*, wybierała się do Pragi, gdzie w Galerii Narodowej znajdowało się to płótno. Wybierała się i jakoś nie mogła tam dotrzeć. Od kilku miesięcy umawiali się z Jeffem, że się w Pradze spotkają, lecz albo jej nie odpowiadał termin, albo jemu. W tym czasie odbyła dwie podróże do Europy, jedną do Włoch, drugą do Holandii, do Amsterdamu, a potem po śladach mistrza w jego rodzinne strony, do Brukseli i Antwerpii, gdzie zbierała dokumentację do swojej pracy. Ale to była inna Europa, dobrze jej znana, a tamta Europa budziła odruchową niechęć, jak wszystko, czego się nie zna i nie ma się ochoty poznać. „Wiem, że mają w tej Pradze galerię, ale czy istnieje tam jakiś przyzwoity hotel?” – spytała męża niby żartem, a on się niemal na nią obraził.

– To dzielny naród, ten Waleza, ten robotnik, obalił przecież komunizm – powiedziała, aby to jakoś złagodzić.

– Wałęsa – poprawił ją – nie jest Czechem, ale Polakiem!

– Właśnie – podchwyciła wesoło – pomyliłam go z Havlem.

Tym razem Jeffa zawiodło poczucie humoru, odłożył słuchawkę. Kiedy ponownie wykręciła numer jego hotelu, recepcjonistka wydukała kulawą angielszczyzną, że „pokój numer siedem nie odpowiada”. Pokój numer siedem nie odpowiadał przez cały wieczór. Wina została jej wybaczona dopiero następnego dnia... Nie spotkali się więc w Pradze, a teraz udawała się do miejsca, w którym prawdopodobnie też się nie

spotkają, mimo że on spędził tam kilka ostatnich miesięcy swojego życia. Twierdzono, że stamtąd wyjechał, ale intuicja jej podpowiadała, że on ciągle tam jeszcze jest.

Przyjrzała się ukradkiem pasażerom lecącym z nią samolotem. Kim byli, co kazało im udawać się do tak zakazanego miejsca jak miasto w dzikim kraju, w dzikiej części Europy... Ze zdziwieniem zauważyła, że jej towarzysze podróży mieli całkiem normalne twarze, ubrani byli też normalnie, mężczyzna siedzący obok niej czytał „Time’a”. Więc z pewnością był w podobnej jak ona sytuacji, a mimo to nie dostrzegła w jego twarzy śladu emocji. Chyba że to nie była jego pierwsza podróż w te strony.

– Nie wie pan, czy miejsce, do którego lecimy... czy Lwów to duże miasto? – odważyła się spytać.

Spojrzał na nią znad okularów.

– To zależy, co pani rozumie przez duże miasto. Jak duże, jak Nowy Jork? Czy Nowy Jork według pani jest dużym miastem?

– No tak – odrzekła spłoszona.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko, nie był już młody, miał szpakowate skronie i bruzdy wokół ust, ale jego oczy zachowały młodość, były lekko zmrużone, odrobinę kpiące.

– Więc Lwów to nie tak duże miasto jak Nowy Jork, ale też nie małe. Położone jest jak Rzym, na siedmiu wzgórzach.

Tę wypowiedź Elizabeth przyjęła niczym świętokradztwo. Jak można przyrównywać jakieś nikomu

nieznane miasto do miejsca, gdzie na każdym kroku czuło się obecność minionych wieków, obecność historii, czasów świetności i ludzkiego geniuszu.

On znowu się uśmiechnął.

– A jednak pozostanę przy swoim porównaniu – powiedział.

Elizabeth poczuła się zmieszana, zupełnie jakby nieznajomy czytał w jej myślach.

Rozmowa się urwała, on powrócił do swojej lektury, ona zaś udawała drzemkę. Przez przymknięte powieki przyglądała mu się ukradkiem. Kim był ten mężczyzna? Z pewnością nie jej współziomkiem, ale po sposobie wyrażania się mogła się zorientować, że doskonale zna angielski. Miał chyba kanadyjski akcent, z wyglądu przypominał jednak Anglika. Nie, to na pewno nie Anglik, jego angielszczyzna to wykluczała. Chyba że rodzina pochodziła z dawnych kolonii, ale byłoby to zbyt fantastyczne. Jak to, że siedziała w tym samolocie. Prawie nie mogła sobie wyobrazić momentu lądowania w jakichś zaroślach...

– Czy pan zna dobrze te strony? – odezwała się znowu.

Jak przedtem pochwyciła jego uważne spojrzenie.

– Chodzi pani o tę część Europy czy o samo miasto?

– O miasto – odrzekła szybko.

Uśmiechnął się.

– Miasto znam bardzo dobrze – padła odpowiedź.

Czekała, że powie coś bliższego, ale on milczał.

– Pierwszy raz jadę tutaj i... czuję się niepewnie.

– Sądzę, że nic pani nie zagraża. To w końcu Europa, może nieco różni się od tej, którą pani już zna, ale nie aż tak, jak pani sobie wyobraża.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

– Skąd pan wie, co ja sobie wyobrażam? – spytała ostro.

Nie odpowiedział.

Rozmowa znowu się urwała. Przymknęła oczy i starała się zasnąć, była jednak zbyt podniecona, aby mogło się to udać. Powróciła myślami do obiektu swoich badań, do Bruegla starszego. Zdania na temat jego twórczości do dnia dzisiejszego były podzielone. Jedni uważali go za piewcę życia w jego najbardziej prymitywnych działaniach: praca na roli, zgarbione z wysiłku plecy, pot. I to wszystko pokazane z pietyzmem, niemal miłością. Inni dopatrywali się w tym ironii, wręcz karykatury. Dla jednych był moralizującym humanistą, z dystansem patrzącym na rzeczywistość, dla innych malarzem „tradycyjnej mądrości”, afirmującym życie, zagłęzionym w codzienny byt swojego narodu. Nie było też zgody co do tego, jak dalece jego obrazy potępiają prześladowania inkwizycji, mordy, terror... Elizabeth najbliższe były jego rysunki z wczesnego okresu twórczości, te z podróży na południe, ale także alegorie, dopatrywała się w nich podobieństwa do twórczości Boscha.

– Nie przeszkadza pani światło? – usłyszała głos sąsiada.

– Nie, nie, ani trochę – odparła szybko. – Widzę, że jak ja nie potrafi pan spać w samolocie.

– Kiedy czuję się zmęczony, potrafię spać wszędzie – odpowiedział.

– Cenna umiejętność... praktyczna.

Spojrzał w jej stronę.

– Widzę, że nie przemieszcza się pani zbyt często.

– Przeciwnie, mogłabym powiedzieć, że samolot jest moim drugim domem, ale to dom, do którego... do którego... – nie potrafiła znaleźć odpowiedniego słowa – nie mam zaufania.

– Jak do celu obecnej podróży. – Wydało się jej, że w jego głosie czuje ironię.

– Nie wiem, co mnie czeka.

– Nikt tego nie wie.

Roześmiała się.

– To odpowiedź filozoficzna. Czy jest pan z zawodu filozofem?

Mężczyzna nieoczekiwanie podniósł się, skłonił w jej stronę.

– Andrew Sanicki. Jestem adwokatem.

Elizabeth nie wypadało nic innego, jak też się przedstawić.

– Teraz rozumiem, dlaczego jest pan tak precyzyjny w swoich odpowiedziach. Ale o mieście Lwów dużo się od pana nie dowiedziałam.

Uczynił nieokreślony ruch ręką.

– Nie wiedziałem, co panią interesuje.

– To na przykład, czy hotel, który zarezerwowałam, spełnia normy europejskie.

– Tu muszę być bardzo ostrożny w udzielaniu odpowiedzi. O jaki hotel chodzi?

Elizabeth sięgnęła do torebki i wyjęła notes.

– Hotel George – powiedziała po chwili – przy ulicy... ulicy... o trudnej nazwie – zakończyła z uśmiechem – może pan odczyta...

– Nie muszę, znam ten hotel. I cóż mogę o nim powiedzieć... okres świetności ma już za sobą. Jak wszystko w tym mieście. Ale mogła pani trafić gorzej.

– Proszę mnie nie straszyć.

Jej towarzysz rozłożył ręce.

– Skoro podjęła pani ryzyko podróży w nieznane, musi być pani przygotowana na najgorsze.

– Oczywiście, oczywiście – przytaknęła szybko – zadowolę się gorącym prysznicem i czystą pościelą.

Uśmiechnął się lekko.

– Wypada mi w tym miejscu opowiedzieć anegdotę o tymże hotelu George. W początkach ubiegłego wieku nasz hotel należał do najbardziej luksusowych w mieście. Późna secesja, tak bym określił jego styl. Dużo ozdób, przeładowania, jak to w secesji. Pokoje wysokie, bogate sztukaterie. Sala balowa zaprojektowana z rozmachem, z galerią dla orkiestry i widzów. To na pierwszym piętrze, cały parter natomiast zajmowała sala jadalna, całkiem elegancko urządzona. Jeśli zaś chodzi o sanitariaty, no cóż... dawał tu o sobie znać panujący w imperium rosyjskim prymityw. Ubikacja była jedna na całe piętro, takie drewniane pudło z otworem pośrodku, połączone z kominem za pomocą rury, która miała wyciągać zapachy, ale niestety nie wyciągała...

Elizabeth wpatrywała się w mężczyznę z napięciem.

– Ale są teraz chyba w pokojach łazienki...

– Łazienki były dwie – ciągnął, jakby jej nie słysząc – na parterze i na pierwszym piętrze. Nie można jednak było ot tak sobie z nich korzystać. Kąpiel w tamtych czasach uważana była za zagrażającą zdrowiu i niemal kłóciła się z dobrymi obyczajami. Wanien używano do innych celów, chłodzono w nich szampa na bal albo trzymano żywe karpie...

Spojrzał na Elizabeth.

– Dlaczego się pani nie śmieje, to właśnie ta anegdota.

– Może bym się nawet uśmiechnęła, gdyby nie myśl, że powinnam wybrać jakiś bardziej nowoczesny hotel.

– To byłoby tak samo ryzykowne.

– Widzę, że chce mnie pan przygotować na najgorsze. W mieście, do którego się udaję, nie ma kanalizacji? Mam rację? Chce mi pan powiedzieć, że jak w średniowieczu nieczystości wylewane są na ulice?

On nagle spowaźniał.

– Nie, chcę pani powiedzieć, że to bardzo niešťczęśliwe miasto, po okresie rozkwitu i świetności skazano je na zagładę. Ono umiera powoli, w torturach... trwa to już przeszło pół wieku.

Zapadła cisza, towarzysz podróży zgasił światło i jego twarz znalazła się w cieniu. Kim on jest? – zadała sobie pytanie. – Co to za człowiek? Co go łączy z miastem Lwów? Sama myśl o tym nieznanym miejscu powodowała niepokój. Sanicki jeszcze ten niepokój w niej podsycił. Wszystko, co mówił, brzmiało zagadkowo, dwuznacznie. Ich rozmowy nie można było nazwać rozmową dwojga podróżnych. Mężczyzna sprawiał wrażenie kogoś, kto ma do spełnienia ważną misję. Skąd przybywał i dokąd się udawał? Czy miasto Lwów było celem jego podróży, czy tylko przystankiem?

– Widziałam pana na JFK... – zaczęła niepewnie.

– Ja panią też zauważyłem – dobiegł głos z ciemności.

– I znowu lecimy jednym samolotem.